

Krystyna Chojnicka
Uniwersytet Jagielloński

Czego uczy nas historia
i czego my się o historii uczymy
– na przykładzie jednego wiersza

Zbigniew Herbert

Pan od przyrody

Nie mogę przypomnieć sobie
jego twarzy

stawał wysoko nade mną
na długich rozstawionych nogach
widziałem
złoty łańcuszek
popielaty surdut
i chudą szyję
do której przyszpilony był
nieżywy krawat

on pierwszy pokazał nam
nogę zdechłej żaby
która dotykana igłą
gwałtownie się kurczy

on nas wprowadził
przez złoty binokular
w intymne życie
naszego pradziadka
pantofelka

on przyniósł
ciemne ziarno

i powiedział: sporysz
z jego namowy

w dziesiątym roku życia
zostałem ojcem
gdy po napiętym oczekiwaniu
z kasztana zanurzonego w wodzie
ukazał się złoty kielek
i wszystko rozśpiewało się
wokóło

w drugim roku wojny
zabili Pana od przyrody
łobuzy od historii

jeśli poszedł do nieba –

może chodzi teraz
na długich promieniach
odziany w szare pończochy
z ogromną siatką
i zieloną skrzynią
wesoło dyndającą z tyłu

ale jeśli nie poszedł do góry –

kiedy na leśnej ścieżce
spotykam żuka który gramoli się
na kopiec piasku
podchodzę
szastam nogami
i mówię:
– dzień dobry Panie profesorze
pozwoli że mu pomogę

przenoszę go delikatnie
i długo za nim patrzę
aż ginie
w ciemnym pokoju profesorskim
na końcu korytarza liści

W roku 1957, trzydziestotrzyletni Zbigniew Herbert opublikował drugi tom wierszy: *Hermes, pies i gwiazda*. Pierwszy, zatytułowany *Struna światła*, ukazał się zaledwie rok wcześniej. Daty te zapewne nie są przypadkowe, poprzez nie po raz pierwszy przemówić może Historia. Po przełomie październikowym, na fali krótkotrwałej liberalizacji w dziedzinie kultury, mógł nastąpić spóźniony debiut poety, który dotychczas zajmował się pracą zarobkową w przeróżnych instytucjach, na ogół niewiele mających wspólnego z poezją, a twórczość pisarską ograniczał do artykułów w tygodnikach katolickich – dopóki ich w miarę wolnego głosu po roku 1953 drastycznie nie ograniczono.

W tomie *Hermes, pies i gwiazda* znalazł się wiersz *Pan od przyrody*. Jest to utwór, który wszedł do kanonu poezji polskiej nauczanego w szkołach, najczęściej zajmują się

nim uczniowie klas gimnazjalnych, czternasto-, piętnastolatki. Pewnie zdecydował tu fakt, iż w wierszu opisane zostały przeżycia trochę tylko starszego autora. Nieco mniej uznania doczekał się ów wiersz od akademickich filologów – komentatorów i badaczy twórczości poety. Najlepszy dowód, iż w „Indeksie utworów Zbigniewa Herberta”, zamieszczonym w opracowaniu najwyższej naukowej klasy, czyli w *Uciekinierze z Utopii* Stanisława Barańczaka, utwór nie został nawet wymieniony; nie ma też o nim mowy w tekście książki. Mamy więc widocznie do czynienia z wierszem, którego walory dydaktyczne cenione są przez filologów wyżej, aniżeli artystyczne. Sądzę, że można by było odczytać go jeszcze w inny sposób, używając do tego warsztatu historyka myśli politycznej. Tego właśnie odczytania postaram się dokonać na trzech płaszczyznach.

Wstęp

*Szczęśliwy kto oglądał świat
W chwilach przemiany i przełomu.
Bogowie go do swego domu
wezwali, by do uczy siadł.*

Fiodor Tiutczew

Czas przełomu to czas ofiar. Z olimpijskiego dystansu, z nadmiaru młodzieńczego entuzjazmu bądź z przekonania o tym, że reprezentuje się jedyną prawdę, dobro i piękno, ofiary uczy bogów mogą zostać niezauważone. Jeśli myśli się kategorią „czasu”, to często myśli się również kategorią „ludzkości”, „planety”, „natury” lub „historii.” Z tej perspektywy los jednostek jest nieistotny, nie jest zresztą zauważalny.

W takim właśnie „czasie przemiany i przełomu” rozegrała się osobista tragedia skromnego nauczyciela przyrody z lwowskiego Gimnazjum nr 8. W wierszu *Pan od przyrody* opowiada o tym jego uczeń, Zbigniew Herbert, a o ostatecznym spełnieniu losu przyrodnika dowiadujemy się z przejmującego fragmentu:

*w drugim roku wojny
zabili Pana od przyrody
łobuzy od historii*

Drugi rok wojny, to rok 1941. W tym roku kandydatów na „łobuzów od historii” było we Lwowie dwóch. Był to bowiem rok, kiedy miasto przeszło z rąk okupanta sowieckiego w ręce hitlerowców. Rok ten we Lwowie podzielony został na dwie równe części – 30 czerwca miejsce Armii Czerwonej zajęły wojska Wehrmachtu. Już w lipcu doszło do masowych mordów na inteligencji polskiej i żydowskiej Lwowa; rozstrzelano również kilkadziesiąt osób spośród profesorów wyższych uczelni, głównie Uniwersytetu Jana Kazimierza, i ich rodzin. Których „łobuzów od historii” miał na myśli poeta? Sama historia dawała mu w tym względzie możliwość wyboru.

I. Historia czy/i/lub Przyroda

„Łobuzy od historii” wykonywały wyroki w imię realizacji sensu i celu dziejów. Historia zbliżać się miała według nich do swojego szczęśliwego zakończenia. Pomimo chwilowego i taktycznego sojuszu, co do którego umówił się Mołotow z Ribbentropem, wyznaczony cel ostateczny, o którego realizację zabiegał każdy z nich, miał być odmienny. Na jego straży stały dwa pojęcia – klucze. „Klasa” i „rasa”. Jedno było wspólne dla obu ideologii. Dla interesów zbiorowości nie była ważna jednostka. „Jednostka zerem, jednostka niczym, jednostki głosik cieńszy od pisku” – pisał poeta Włodzimierz Majakowski. Zazwyczaj jednak wyrażano tę myśl dosadniej.

„Łobuzom od historii”, których reprezentował w sławetnym pakcie Mołotow, chodziło o realizację komunistycznego społeczeństwa, w którym zwycięska klasa robotnicza stanie się klasą jedyną. Tym samym zaniknie samo pojęcie klasowości, w myśl bowiem przyjętej dialektyki, skoro klasa, która nieodmiennie pozostaje w konflikcie z innymi klasami, straci swoich antagonistów, przestanie być klasą. Będąc jednocześnie pracownikiem i pracodawcą, właścicielem środków produkcji i tymi, którzy ich używają w codziennej pracy, mając w rękach wszelką władzę i likwidując władzę, z braku potrzeby jej istnienia, bo kogo miałyby zmuszać do posłuchu – realizatorzy historii spod znaku sierpa i młota wcielali w życie marzenia wszystkich utopistów, którzy przez wieki układali regulaminy funkcjonowania idealnego świata. Marzenia o końcu historii. Do ostatecznej realizacji ich zamierzeń brakowało jeszcze tylko poświęcenia dalszych milionów istnień ludzkich. Oczywiście było bowiem, że świat, będący areną walki pomiędzy klasami, nie podda się bez oporu i klasa robotnicza zmuszona będzie dochodzić sprawiedliwości społecznej poprzez rewolucję. Ta jednak nie będzie aktem jednorazowym. Zakładano przecież, że przemiany w świadomości ludzkiej zawsze pozostają opóźnione w stosunku do przemian bytu, stąd rewolucja rozciągnie się w czasie aż do chwili, gdy zlikwidowane zostaną ostatnie ogniska oporu tych, których świadomość nie jest w stanie pojąć konieczności zaistniałych przeobrażeń. Ze przy okazji dojść może do pomyłek i paść mogą przypadkowe ofiary, nie jest istotne z punktu widzenia konieczności realizacji nieubłaganej logiki dziejów.

A co Pan od przyrody miał do zaoferowania swoim uczniom, zamiast nauczania ich obiektywnych praw historii? Niezłębione tajemnice natury? Sprawa to ryzykowna – natura też ma swoją historię, której na imię ewolucja. Ta zaś wiąże się z imieniem Karola Darwina, a Darwin, zresztą w niezawiniony przez siebie sposób, łączy się ze szkołą darwinizmu społecznego, ta zaś z kolei z rasizmem. To ideologia „łobuzów od historii”, którzy w połowie roku 1941 przejęli miasto z rąk Sowietów. Dobrze były im znane prawa działania przyrody, która pozbywa się słabszych, która nie znosi mieszania się gatunków, która poddaje swoje twory przeróżnym próbom, a wszystko w celu wytworzenia gatunków najsilniejszych, najbardziej odpornych, godnych przetrwania. Dla doskonalenia germańskiej rasy nie należało oszczędzać jednostek. Jeden z twórców ideologii faszystowskiej, Benito Mussolini – świadom tych przyrodniczych związków – jasno stwierdził, iż jednostka jest jedynie nawozem historii i należy rozumieć, że według tej teorii był nim także każdy „Pan od przyrody”.

Herbert, myśląc o przyrodzie, nie miał przecież jednak na myśli rasistowskich teorii Trzeciej Rzeszy. Jego świat przyrody nawiązywał do antyku, w którym poeta czuł się najlepiej. Antyk stał się jego ucieczką przed „łobuzami od historii”.

Przeżyłem, jeśli nie osobiście, to na pewno jako świadek, niejedną kompromitację ideologii, załamanie się sztucznie stworzonego obrazu rzeczywistości, kapitulację wiary wobec faktów. I wtedy domena rzeczy, domena przyrody wydawała mi się punktem oparcia, a także punktem wyjścia umożliwiającym stworzenie takiego obrazu świata, który byłby zgodny z naszym doświadczeniem. Po odejściu fałszywych proroków, rzeczy, aby tak rzec, ukazywały swoją twarz niewinną, nieskałaną kłamstwem (*Rekonstrukcja poety*, dramat 1958).

Przyrodę, o której mówi poeta, rozumieć należy szeroko, tak jak pojmowali ją stoicy, panteiści, nauczający o naturze, która jest harmonią łączącą wszechświat z mikrokosmosem, jakim jest człowiek, wspólnie na równi przeniknięci działaniem logosu. Główne cnoty, głoszone przez stoików, czyli mądrość, umiarkowanie, męstwo i sprawiedliwość, są również przesłaniem etycznym poezji Herberta. Można by zapytać, jak ma się logos do kartezjańskiego *cogito*, którego imieniem nazwał Herbert bohatera swoich wierszy. Znakomicie przedstawił ów związek Miłowit Kuniński. Wśród wielu argumentów, uzasadniających bliskość koncepcji etycznych tych dwóch systemów filozoficznych, które dzieli odległość tysiącleci, i przy całym poszanowaniu ich odrębności, decydujący jest ten, że w obu tych systemach cnota połączona była z rozumem, co stanowiło wyłączny warunek szczęścia. Kartezjusz pisał (cyt. za Kunińskim):

Właściwe posługiwanie się rozumem, dając prawdziwe poznanie dobra, zabezpiecza cnotę przed popadnięciem w fałsz, przyzwalając na godziwe przyjemności, czyni ją łatwą do stosowania w praktyce, a umożliwiając człowiekowi poznanie uwarunkowań jego natury, zakreśla granice naszymu pożądaniu. Tak więc należy przyznać, że największa szczęśliwość człowieka zależy od właściwego posługiwania się rozumem, a w konsekwencji należy się zgodzić, że badanie służące nabyciu sprawności w takim posługiwaniu się jest najbardziej pożytecznym zajęciem, jakiemu możemy się oddawać, jak też, bez wątpienia, najprzyjemniejszym i najmlszym.

Jak zauważa Kuniński, pod myślą tą podpisać by się mogli nie tylko stoicy, lecz i Sokrates, Platon, Arystoteles. Niewątpliwie również Herbert.

A może Pana od przyrody zabiła sama historia, a to, kto wykonał wyrok, było sprawą drugorzędną? Na straży tej tezy stoi historiozofia i liczne koncepcje dotyczące zmięchu cywilizacji europejskiej. Wydaje się, że Herbert podjął walkę przeciw temu samemu wrogowi, z którym przez całe życie walczył Karl Popper, autor *Nędzy historycyzmu*, dedykowanej tak, jak mógłby zostać zadedykowany i wiersz Herberta:

Pamięci niezliczonych kobiet i mężczyzn wszystkich wyznań, narodów i ras, którzy zostali ofiarami faszystowskiej i komunistycznej wiary w Niezłomne Prawa Historycznego Przeznaczenia.

Mechanizmy przewidywania dróg, jakimi będzie poruszała się historia, są zdaniem Poppera całkowicie nienaukowe. Historiozofia opiera się na nieuprawnionych uogólnieniach, formułowanych wbrew żywej materii rozwoju dziejów, nie znosi wyjątków, nie akceptuje odstępstw od głównego nurtu, nie poddaje się krytyce i weryfikacji. Popper zaprzecza relatywizmowi moralnemu, ale jednocześnie ostrzega, aby w poszukiwaniu jedyne go dobra nie zbroczyć na manowce i nie zastąpić owego dobra rytuałami, tabu i magicznymi formułami składającymi się na pseudoetykę systemów totalitarnych.

II. Fakty

W tym wierszu wszystko jest ważne. I szare pończochy „Pana od przyrody” spacerującego po niebieskich łąkach, bo jakże inaczej można sobie wyobrazić obowiązujący w latach trzydziestych sportowy strój wielbiciela pieszych wypraw na łono natury, jeśli w skład jego nie wchodziłyby tweedowe sportowe pumpy i wystające spod nich wełniane pończochy. I pradziadek pantofelek, skamienielina systemu edukacji, którego portret od co najmniej kilkunastu pokoleń dumnie otwiera każdy zeszyt od przyrody. I „przyszpilony nieżywy krawat”, w którym autorzy podręczników „od polskiego” dopatrują się złożonej symboliki. Powróćmy jednak do Historii.

Jeżeli jest dla nas interesujący „Pan od przyrody”, to także – dla równowagi – „Pan od historii”, nie rozstrzygając przy tym, czy można było ich obu nazwać Panami Cogito. Czy wiemy coś o Panu od historii wykładającym swój przedmiot w klasie Herberta? Owszem, wiemy, i to znacznie więcej, niż o skromnym „Panu od przyrody”. Jak pisze Joanna Siedlecka, biografka Herberta, w lwowskim gimnazjum:

Chlubą i dumą – Pan od historii, docent doktor Czesław Nanke, wykładowca na Uniwersytecie Jana Kazimierza, współpracownik Komisji Historycznej Polskiej Akademii Umiejętności. Autor wielu podręczników i atlasu historycznego, wznawianego jeszcze po 1945. Surowy, poważny, z marsową twarzą i takim samym sposobem bycia, niezachęcającym do poufalości, uczniowie mówili więc, że „Ananke gnębiła Greków, a Nanke gnębi nas”. Jego wymaganiom potrafił sprostać jedynie rozwalony nonszalancko w pierwszej ławce Roman Palester, choć ćwiczył osiem godzin dziennie na fortepianie; kiedy się uczył, pozostaje tajemnicą. Można było umieć wszystko, a potknąć się na pytaniu, jak wchodzili Rzymianie do starożytnego amfiteatru.

Był więc w lwowskim Gimnazjum nr 8 zacny „Pan od historii”, co – na marginesie – dowodzi, iż nie każdy „od historii” koniecznie być musi łobuzem. Pewnie nauczał swoich uczniów w szlachetnym przekonaniu, że *historia magistra vitae est*. Co jeszcze przekazywał im ten pedagog, wydawca i komentator Machiavellowego *Księcia*, autor prac o Talleyrandzie, badacz dziejów dyplomacji?

Drogę życiową Czesława Nanke poznać możemy dzięki artykułowi Henryka Barycza, zamieszczonemu w *Polskim Słowniku Biograficznym*. Późniejszy nauczyciel lwowskiego gimnazjum pochodził z rodziny o niemieckich korzeniach i z inteligencji o niedawnym rodowodzie. Wprawdzie jego ojciec był doktorem praw Uniwersytetu Jagiellońskiego i adwokatem, jednak dziadek wiodł przez znaczną część życia barwny żywot wędrownego malarza ludowego, zaopatrując w obrazy o tematyce religijnej kościoły Spiszu i Sądecczyzny. Wcześniej osierocony przez rodziców, wychowanie i wykształcenie zawdzięczał przyszły historyk przyrodniemu rodzeństwu oraz krewnym. Henryk Barycz widzi w tym przyczynę, dla której Nankego cechowała „twardość w dążeniu do celu, poleganie na samym sobie, rygorizm, surowość w stosunku do otoczenia, miarkowane jednakże kulturą osobistą, obowiązkowość i sumienność”. Karierę naukową rozpoczął Nanke jeszcze jako student prawa i geografii w Zakładzie Naukowym im. Ossolińskich. W Ossolineum zapamiętano go, jak „argusowym okiem pilnował porządku w pracowni wśród czytelników”. Po obronie doktoratu, zmuszony warunkami materialnymi, podjął pracę jako nauczyciel, po kilku latach jednak powołany na członka

Ekspedycji Rzymskiej Akademii Umiejętności rozpoczął w Rzymie badania nad aktami nuncjatury w Polsce w czasach panowania Stefana Batorego. Pracę tę kontynuował latami, również w Hiszpanii, w Toledo. Nie dokończył jednak wydawania wyników swojej pracy „na skutek niemożności uzgodnienia stanowiska w kwestiach edytorskich z Prezydium Ekspedycji”. Trudno wnioskować z tego enigmatycznego zdania, czy zaistniał konflikt personalny, czy też różnice zdań w kwestiach naukowych i po czyjej stronie była racja w tym sporze. W latach trzydziestych rozpoczął Nanke szeroko zakrojoną działalność pisarską, lecz spod jego pióra wychodziły odtąd wyłącznie publikacje przeznaczone do celów dydaktycznych.

Pracę w Gimnazjum nr 8 we Lwowie rozpoczął Czesław Nanke w roku 1913 i pozostawał tam na stanowisku profesora historii do roku 1941. Równocześnie, począwszy od roku 1925, wykładał na Uniwersytecie Jana Kazimierza i tamże w 1938 roku został profesorem tytularnym na Wydziale Humanistycznym. Po wejściu Sowietów do Lwowa 21 września 1939 roku Czesław Nanke nie pojawił się już w szkole, pracował wyłącznie na uniwersytecie, gdzie początkowo władze radzieckie nie ingerowały tak bardzo w tok nauczania i badania naukowe, jak w gimnazjum. Pan od historii opuścił więc swoich uczniów – może dlatego, że nie był im w stanie wyjaśnić, skąd biorą się „łobuzy od historii”. Po wojnie Czesław Nanke przez kilka lat uczył w prowincjonalnych szkołach zawodowych, by niedługo przed śmiercią uzyskać stanowisko docenta etatowego na Uniwersytecie Jagiellońskim, w którym wykładał na Wydziale Historycznym i w Szkole Nauk Politycznych.

Lektura biogramu Czesława Nanke nie tylko wprowadza nas w koleje losu „Pana od historii”, lecz także sama w sobie stanowi wielce pouczającą lekcję historii. Tom *Polskiego Słownika Biograficznego* zawierający biogram Nankego wydany został w roku 1977 i nie trzeba szczególnej wnikliwości badacza, aby dopatrzeć się w tekście ingerencji cenzury, a w omówieniach i przemilczeniach zauważyć intencję zasygnalizowania niecenzuralnych faktów. Możemy więc przeczytać, że „po repatriacji” w 1945 roku rozpoczął Nanke pracę w Liceum Kupieckim w Tamowie i Ogrodniczym w Gumniskach. „Po repatriacji”, co jak wiadomo zakłada wcześniejsze opuszczenie ojczyzny lub – co w tym wypadku możliwe – znalezienie się poza ojczyzną, która nagle, jak rzeka, zmieniła swój nurt, i to nie pod wpływem działania sił natury. Najwidoczniej na scenie pojawili się po raz kolejny „łobuzy od historii”. O okolicznościach „opuszczenia” ojczyzny przez Nankego nie możemy w *Słowniku* przeczytać ani słowa, co jednak nie przeszkadza nam we właściwym zrozumieniu całej sytuacji. I dalej. W czasie pracy na Uniwersytecie Jagiellońskim – „Nie doczekała się natomiast realizacji uchwała Rady Wydziału Humanistycznego (21 I 1947) o przeniesienie jego tytułowej profesury lwowskiej”. *Sapientia sat*. „Łobuzy od historii” nie zabili więc lwowskiego nauczyciela historii, nie odmówili sobie jednak prawa do komplikowania kolei jego życia. Zmarł na serce w 1950 roku, mając lat sześćdziesiąt siedem. Nie można jednak powiedzieć, że nie stał się ofiarą historii lat czterdziestych XX wieku, zresztą tak samo, jak większość jego rówieśników. Historią tego dziesięciolecia zgodnie podzielili się w dziele urzędowania świata i ludzkich losów „łobuzy” z obu totalitarnych opcji.

Znacznie mniej wiemy o „Panu od przyrody”. Nazywał się Fortunat Stroński i tak jak go opisuje Zbigniew Herbert – był człowiekiem skromnym. W książce Joanny Siedleckiej czytamy o nim:

Doktor Fortunat Stroński, Pan od przyrody, uczył w *dziesiątyletkie* za Sowietów, za Niemców karmił wszy u Weigla, w ramach ekspatriacji znalazł się z żoną i dziećmi najpierw w Nowym Sączu, potem w Gliwicach, gdzie proponowano mu posadę na politechnice, odmówił jednak, bo „czzerwona”. Wolał zaszyć się na prowincji, w Ormantowicach koło Orzesza, gdzie uczył w Gimnazjum Rolniczo-Hodowlanym. Ale nie udało się – zmarł nagle i przedwcześnie w wieku pięćdziesięciu paru lat na zawał serca. Przejścia wojenne i troski materialne (troje dzieci) podcięły jego nadwątłony organizm, napisał do mnie jego syn, Jan Stroński.

Pan od przyrody nie opuścił więc swoich uczniów, kiedy lwowskie Gimnazjum nr 8 zamieniono na *dziesiątyletkę*. Być może po upływie półwiecza mieliby mu to za złe gorliwi poszukiwacze kolaborantów. Jednak we wspomnieniach uczniów jego pozostanie na posterunku miało głęboki sens wychowawczy.

Dodawał też ducha Pan od przyrody, Fortunat Stroński, który na pierwszej z lekcji w *dziesiątyletkie*, sam najwyraźniej spięty i poważny, rozpoczął od doświadczenia. Wziął pęk cienkich patyczków i wywołałszy na środek sali klasowego siłacza, polecił je złamać, co oczywiście mu się nie udało. I wtedy właśnie sam wziął jeden patyczek, złamał go i powiedział: „Jednego człowieka zniszczyć łatwo, dlatego też musicie trzymać się razem, bo z całym narodem nigdy się to nie uda” (Joanna Siedlecka, *Pan od poezji*).

Czy ujawnia nam się w ten sposób inne znaczenie wyrażonego przez Majakowskiego przekonania, że „jednostka zerem, jednostka niczym”?

W czasie wojny, zarówno tej „sowieckiej”, jak i „niemieckiej”, dla wielu lwowskich inteligentów i intelektualistów sposobem na przetrwanie było podjęcie się roli karmiciela wszy w Instytucie Badań nad Tyfusem Plamistym i Wirusami stworzonym przez profesora Rudolfa Weigla. Okupanci z obu obozów, obawiając się wybuchu epidemii tyfusu, trudnej do opanowania w warunkach wojny, wspierali produkcję szczepionek. Szczepionki wymagały wyhodowania kultur bakterii, a te najlepiej rozmnażały się w nabłonku jelit wszy, zaś wszy musiały otrzymywać pokarm. Karmili je więc własną krwią tak zwani *strykacze*, mocując na kilka godzin dziennie klatkę z wszami na nodze, za pomocą gumowej opaski. Karmienie wszy „u Weigla”, a karmicielem był i profesor Fortunat Stroński, i jego uczeń – Zbigniew Herbert, jest niewątpliwie ironią losu (a o ironii w twórczości Herberta, jako o jednym z głównych środków poetyckiego wyrazu, pisał tak znakomicie Barańczak). Był to bowiem niewątpliwie ważny w życiu Strońskiego i Herberta kontakt z „przyrodą”, który obu uratował życie przed wyrokiem „historii”.

III. Historia po latach, czyli jak uczymy nasze dzieci

Zyjemy w humanitarnych, oświeconych czasach. Wprawdzie nadal dzieci z mozołem malują w zeszytach „od przyrody” konterfekty „pradziadka pantofelka”, ale zakazujemy im już atakować szpilką mięśni zdechłej żaby i łąpać w siatkę motyle. Uczymy natomiast młodzież w szkołach interpretacji wiersza *Pan od przyrody*, ale raczej na coś innego, aniżeli na zbrodniczość „łobuzów od historii” zwracamy dzisiaj jej uwagę.

Na współczesny odbiór wiersza wpłynęła być może stylistyka przyjęta przez autora, który we fragmentach wiersza spogląda na świat oczyma dziecka, jakim był, gdy pobie-

rał nauki od „Pana od przyrody”. Gdzieś na pograniczu świata dziecięcych zabaw i dojrzałego moralnego potępienia funkcjonuje także słowo „łobuz”. Nie wdając się w socjolingwistyczną analizę, należy zasygnalizować, że słowo to w ostatnich dziesięcioleciach zmieniło zasadniczo swoje znaczenie. Przekonać nas o tym może nawet pobieżna lektura słowników. O ile jeszcze w latach osiemdziesiątych XX wieku *Słownik Języka Polskiego* (red. M. Szymczak) podaje dwa znaczenia tego słowa (1. urwis, psotnik, swawolnik; 2. człowiek zły, podły), o tyle w słownikach z XXI wieku, a już w szczególności w Internecie, wyraźnie widoczne jest ograniczenie znaczenia tego słowa wyłącznie do określenia szczenięcych wygłupów i niedojrzałych demonstracji. Postmodernistyczny bałagan sprawił, że ewangelizacją dzieci w katolickiej Polsce zajmuje się na serio, również dziecięcy, zespół o dźwięcznej nazwie „Łobuzy Jezusa”. Współczesne łobuzy, co wysoce pocieszające, nie mordują swoich nauczycieli, co najwyżej wprawiają ich w rozdrażnienie i głębokie zdumienie, kiedy zdarzy się pedagogowi wpisać w wyszukiwarce Google słowo „łobuzy”.

Infantylicyzacji znaczenia słowa „łobuzy” towarzyszyć zaczęła infantylicyzacja w interpretacji wiersza *Pan od przyrody*. Infantylicyzacja ta dotknęła na równi młodzież i jej wychowawców. Oczywiście, są pewne różnice w omówieniach *Pana od przyrody*, pomiędzy tymi, które spotykamy w popularnych skryptach i pospolitych brykach, a tymi, które opublikowane zostały w zasłużonym piśmie Ministerstwa Edukacji Narodowej „Polonistyka”. Jednak mimo że różnice te istnieją, bliższe przyjrzenie się tym obu typom źródeł przekonać nas może, iż nie są one aż tak zasadnicze.

Typowy bryk, drukowany pod hasłem „Nasz tęczy parasol ochroni się przed deszczem klasówek, ulewą sprawdzianów...” (M. Chrzanowski, *Synteza epoki. Literatura współczesna. Szczegółowe opracowanie lektur*, wyd. Skrypt, 2001), tak oto rekapitułuje przesłanie wiersza: „Nauczycielowi z wiersza został zbudowany pomnik w sercu, pamięci ucznia, który mimo upływu czasu nie zapomniał swego wychowawcy”. Ten ujmujący w swej prostocie fragment Irena Urbaniak zastąpiła, w książce sygnowanej autorytetem Katedry Literatury Romantyzmu i Literatury Współczesnej Uniwersytetu Łódzkiego (*Dlaczego Herbert*, 1992), uczoną egzegezą, według której już tytuł wiersza „w sposób iście Peiperowski ekwiwalentyzuje uczucia przywiązania, podziwu i świadomego podporządkowania”, co wynika z faktu, iż Herbert włącza Pana od przyrody do swego rodzinnego grona, a „motywiącą owej decyzji jest taka sytuacja psychologiczna, którą najładniej ujmuje goetheańska formuła »powinowactwa z wyboru«”. Chodzi zaś o to samo – współczesna dydaktyka widzi w *Panu od przyrody* przede wszystkim laurkę dla nauczyciela i stąd w licznych opracowaniach najczęściej pojawiają się określenia „nieśmiertelność w pamięci”, „pomnik”, „hold”, „nauczyciel idealny”. „Dla mnie będzie zawsze nieśmiertelny, bo każdy dobry nauczyciel żyje we wspomnieniach swoich uczniów” – deklaruje www.sciaga.pl. Takiego oto nauczyciela miał zamiar, zdaniem komentatorów, uwiecznić poeta. Pytaniem jest wobec tego, za co uczeń winien jest wdzięczność owemu idealnemu pedagogowi. Generalnie w opracowaniach przeważają argumenty, że zasługą jego było to, iż krzewił „miłość do przyrody”, uczył „dostrzegać świat” i „szanować życie”.

Ten ostatni argument buduje prostą, aby nie powiedzieć prostacką, opozycję: przyroda – szacunek dla życia, historia – „łobuzy od historii” „miały gdzieś jego lekcje o szcunku do życia”, jak dobitnie stwierdził jeden z internautów. Interpretacja taka staje się

coraz bardziej powszechna. Wspomniana już autorka z Uniwersytetu Łódzkiego, nawiązując dość przypadkowo do fragmentów wierszy o Panu Cogito, nadaje jej pozór naukowości, pisząc:

A szacunek wobec życia, każdej jego formy czy przejawu, to jedna z najprostszych i najbardziej niezawodnych miar człowieczeństwa, to humanitaryzm, którego nie dziedziczy się po „praszczurach”, wśród których znajdują się i „łobuzy od historii”. Etyki, moralności można się nauczyć tylko od „przodków: Gilgamesza, Hektora, Rolanda” czy „pana od przyrody”, który i w tym jest podobny do owych mitycznych bohaterów, że wszyscy oni żyją tak długo, jak długo ich „potomkowie”, opowiadając o nich, przekazują sobie reprezentowane przez nich wartości.

Pozwoliłam sobie w tym miejscu na dłuższy cytat, aby wykazać, że nie istnieją w zasadzie granice absurdu w interpretowaniu tego, prostego zdawać by się mogło, wiersza. Wszystkich, którzy znają wiersze *Przeżłanie Pana Cogito* i *Pan Cogito obserwuje w lustrze swoją twarz*, niewątpliwie zadziwią skojarzenia autorki zawarte w pojmowaniu kategorii „praszczur” i „przodek”. Dziwnych porównań jednak jeszcze nie dość. We wspomnianym wyżej miesięczniku MEN-u „Polonistyka” (luty 1996) młoda nauczycielka z entuzjazmem opisuje, a redakcja, błogosławiąc, drukuje, opis lekcji poświęconej *Panu od przyrody*. W trakcie tej wzorcowej lekcji nauczycielka, przeciwstawiając właściwe przyrodzie, a personifikowane przez Pana od przyrody „życie, istnienie, ciągłość, trwanie, harmonię, nie-wojnę” historii i jej „łobuzom”, uznanym za „symbol śmierci jako nienaturalnej zmiany, znak nietrwałości, zaburzeń biologicznego rytmu, dysharmonii”, jako patrona trwającego w przyrodzie ładu prezentuje uczniom Darwina, a jako głosicielka dysharmonii, nieładu i gwałtownych zmian Heraklita z Efezu.

Kolejny polonista (A.W. Labuda w: „Polonistyka” maj 1992), proponuje zgoła odmienną interpretację wiersza, choć sam nie wydaje się do niej przekonany, co odczytać można z następującego zdania: „Stwórcę nazywa się wprawdzie Panem stworzenia, lub przyrody, ale miano »pan od przyrody« brzmi bądź infantylnie, bądź ironicznie, bądź i tak, i tak”. Od razu zastrzegam, że zakładam, iż o Panu Bogu jednak wolał się Herbert wyrażać raczej infantylnie niż ironicznie, a już w żadnym wypadku i tak, i tak. Porzucmy jednak pokutujące duchy nieśmiertelnego Profesora Bładaczki – „Pana od polskiego”, aby zwrócić uwagę na jeszcze jeden zastanawiający i istotny szczegół. Kto zabił Pana od przyrody? Wprawdzie nie wynika to wprost z interpretacji przeprowadzanej przez profesjonalistów, Labuda podkreśla nawet dwie możliwe w tej kwestii odpowiedzi, jednak rozprawiane wśród uczniów w Internecie gotowe wypracowania, omówienia i interpretacje nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości co do tożsamości „łobuzów od historii”. Wszyscy zgodnie informują, że Pan od przyrody padł ofiarą faszystów. Tym samym możemy się domyślać, że taka właśnie wersja obowiązuje na lekcjach polskiego. Dalszych informacji o stopniu znajomości historycznego kontekstu wiersza dostarczyć może fragment, w którym uczeń z rozbijającą naiwnością pisze: „Ciekawe zestawienie »pana od przyrody zabił łobuzy od historii«, czyli ci, którzy wywołując wojnę i walcząc na niej, namieszali w spokojnej, niemal sielankowej historii kraju, edukacji, życiu młodych ludzi”. Taką konkluzję, której autorem jest młody czytelnik Herberta, pozostawmy potomnym jako świadectwo szczęśliwych czasów pierwszej dekady XXI wieku, kiedy to faszyci i komuniści stali się postaciami, o których pisze się już tylko w szkolnych brykach, podobnie i nie więcej jak o „pradziadku pantofelku”.